Kraków, 5-go Listopada 1910 r.

Rok 6. Nr. 22.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 45 „Prawdy".

OBRONA CZĘSTOCHOWY.

Uwaga. Po śmierci Władysława IV obrano królem brata jego, Jana Kazimierza (1648—1688). Polacy odnieśli kilka zwycięstw nad zbuntowanem kozactwem. Pokonany Chmielnicki zwrócił się o pomoc do Moskwy. Car Aleksy wkroczył do Polski, zajął Smoleńsk i Wilno, Chmielnicki napadł na Lwów. Korzystając z niedoli polskiej, król szwedzki Gustaw Adolf naszedł Rzeczpospolitą i zajął Wielkopolskę, Warszawę i Kraków, a elektor brandeburski zajął Prusy, W ten sposób kraj cały został zalany przez nieprzyjaciół.

Dzielna obrona Częstochowy podniosła ducha narodowego. Zaczęto zwyciężać Szwedów. Jednocześnie zawarto pokój z Moskwą i Niemcami, którzy cofnęli swe wojska z Polski. Szwedzi pobici sromotnie — uciekali. Stefan Czarniecki gonił ich aż do Danii.

Zawitał spokój, lecz niedługo gościł w Polsce. Zaczęły się znowu wichrzenia na Ukrainie. Car Aleksy wkroczył do Polski. Rokosz czyli bunt szlachty pod przewodnictwem Lubomirskiego dopełniła miary niedoli. Jednocześnie sułtan turecki zaczął się gotować do wojny. Zawarto więc rozejm z Moskwą, oddając jej Smoleńsk, Czernichów i ziemie za Dnieprem. Turków pobił Jan Sobieski.

*

* *

Niedaleko Częstochowy, tuż prawie pod klasztorem Jasnogórskim, leży wioseczka Lisiniec. Od dworu Lisinieckiego,

kiego do klasztoru biegła wąska droga, wysadzona strzelistemi topolami. Przy drodze na pniu siedział mały chłopiec. Łzy płynęły mu z oczu, łkanie rozrywało pierś chłopięcia.

Straszny obraz stanął mu przed oczyma.

... Przyszło kilkunastu rajtarów szwedzkich, którzy dowiedzieli się, że chłopi broń mają i zaczęli strasznie pastwić się nad niemi: ucięli biednym kmiotkom prawe ręce.. Potem wpadli do dworu... Matuchna chłopczyny stanęła we drzwiach broniąc wstępu. Szwedzi rzucili się na nią, a jeden z nich przebił ją szpadą na wylot. Nieszczęśliwa upadła bez życia. Napastnicy wpadli do komnaty. Nikogo tam nie było, jeno on, Stach biedny, stał przerażony, załamując rączyny. Szwed kopnął go z całej siły — dzieciak upadł bez czucia obok trupa matki...

— Boże mój! — łkał — co ja teraz pocznę, matuchna na cmentarzu, ojciec na wojnie.

Długo tak siedział biedaczek, pogrążony w rozpaczy i żalu. Naraz w powietrzu rozległ się cichy, łagodny dźwięk dzwonów.

Chłopiec podniósł oczy, przed nim wznosiła się wysoka wieża i czerwienił się dach klasztoru jasnogórskiego. Jakieś ciche ukojenie balsamem spływało na biedną duszyczkę Stacha.

— Pewno matuchna w niebie uprosiła Matki Boskiej o pocieszenie — pomyślał sobie chłopiec.

Wtem przypomniał sobie, że ludzie mówili, iż wkrótce Szwed ma ruszyć na Jasną Górę, aby złupić bogaty klasztor.

— Pójdę tam, niech mnie Szwedzi zabiją!

Wstał z pieńka i zaczął biedz ku klasztoru. Po drodze przystawał, by złapać tchu, potem biegł dalej. Klasztor był coraz bliżej. Wreszcie zmęczony stanął pod wysokiemi murami.

— Ej, nie zdobędą go Szwedzi! — pomyślał z radością i przeszedł bramę.

W dziedzińcu ludu było dużo, wszyscy cisnęli się do kaplicy Najświętszej Marji Panny.

Stach również ukląkł przed cudownym obrazem i zaczął prosić Swiętej Panienki o pomoc, opiekę i radę.

Nie zauważył nawet, że się kaplica opróżniła, że wszyscy ludzie wyszli, że przy nim stał tylko zakonnik w białym habicie.

— Co ty tu robisz, chłopcze? — spytał łagodnie.

Chłopiec opowiedział całe swoje nieszczęście.

Paulin wziął go za rękę i wprowadził do obszernej sali.

— Poczekaj na mnie — rzekł — pójdę do ojca przeora; zaraz wrócę.

Jakoż wrócił po chwili.

— Chodź za mną, chłopcze — powiedział.

Przeszli przez wąski kurytarz; weszli do celi ojca przeora. Był to niewielki pokoik o jednem oknie. Pod ścianą stało proste drewniane łoże. Dwa stołki, stół, półka z wielkiemi księgami i duży czarny krucyfiks w rogu — dopełniały umeblowania.

Braciszek wyszedł. Przed Stachem stał ksiądz Augustyn Kordecki. Był szczupły, wzrostu wysokiego. Jasne oczy jego wyrażały wielki spokój, dobroć i hart ducha.

— Słyszałem o napadzie Szwedów na Lisiniec, o śmierci twej matki — rzekł cicho, — Jeśli chcesz, zostań u nas, chłopczyku. Ale ci nie bardzo dobrze tu będzie, bo się i na nas Szwedzi zbierają.

— Ojcze! — zawołał Stach — obronicie się, takie mocne mury macie.

— Moje dziecko, Kraków i Warszawa miały mocniejsze mury... Nie mury nas bronią, jeno Matka Boża.

— Jeżeli pozwolicie, ojcze, to zostanę! — zawołał Stach z zapałem, — będę z wami bronił klasztoru i służył Marji!

Przeor uśmiechnął się pobłażliwie i wyszedł wyszukać odpowiedniego pomieszczenia dla chłopca.

Choć wieści o napadzie Szwedów na Jasną Górę nie były uzasadnione, przeor gotował się do obrony. Stach widział, jak zwożono proch i kule, jak sprowadzano armaty, wyjmowano broń. Pan Stefan Zamojski i Piotr Czarniecki zaczęli chłopów ćwiczyć we władaniu bronią.

Jednego dnia, nasz chłopiec, chodząc po wałach, zauważył, że mury w paru miejscach były poszczerbione. Doniósł o tem przeorowi. Ksiądz Kordecki pogładził go po głowie.

— Dziękuję ci, chłopcze, mam teraz czworo oczu: twoje i moje!

I zaraz kazał naprawić szczerby. Zaopatrzono również klasztor w żywność, pozamykano bramy. Roboty było huk! Stach biegał jak strzała, pomagał dzielnie przeorowi, roznosił jego rozkazy, zdawał mu relacje. Wszędzie był i wszystko wiedzieć musiał.

— Stachu, obacz ino, czy są już kule przy armatach?

Chłopiec poszedł w jedną stronę, a ksiądz przeor w drugą, doglądać murów. Po chwili Stach nadbiegł.

— Są, przewielebny ojcze, poskładane w kupie koło każdej armaty. Pan Zamojski się pyta, czy są muszkiety dla wojska?

— Powiedz, że jutro nadejdą.

I tak bez ustanku Stach biegał z jednego miejsca na drugie.

— Wicherby lepiej od niego nie usłużył, taki prędki — rzekł ksiądz Piotr, ten sam, który chłopca spotkał w kaplicy.

— Lepiej to dla niego, zapomni o swojem nieszczęściu, o śmierci matki — odpowiedział ksiądz Kordecki.

Wreszcie wszystkie przygotowania zostały ukończone.

Wieczorem Stach siadł przy murze, zapatrzony na swój Lisiniec, w oknach chat świeciły nikłe ogniki, ale dworu nie było widać. C. d. n.

Babcia i wnuczek.

Niech mnie babcia ucałuje
I popieści trocha!
Niech małego swego wnuka
Babcia bardzo kocha!
A ja zato się nauczę
Zadanej bajeczki,
I już nigdy nie ucieknę,
Jak dziś, od książeczki;
Będę grzeczny i posłuszny,
Babunia zobaczy! . . .

Dobrze, Kaziu, lecz zrobimy
Cokolwiek inaczej:
Ot! bądź grzeczny, niechaj dobrze
Idzie ci nauka,
Wtedy babcia ucałuje
I popieści wnuka;
I będzie go kochać bardzo,
Z serca, z duszy całej.
Pierw zasługa, niż nagroda,
Pamiętaj, mój mały!

Jak się żywią ryby.

I ryby zasiadają do tego samego biesiadnego stołu, co ptaki i gady. Że bez trudności łowią te owady, które wpadły w wodę, o tem niema co mówić. Nieraz podskakują dość wysoko, aby schwycić muszkę. Rybacy dobrze wiedzą, na co się ryba bierze, i zbierają różne glisty i robaki, które do haczyków przytwierdzają; w braku prawdziwych, używają sztucznych, ale żarłoczny szczupak nie bada nic. tylko hyc! i schwyci za robaka, a poniewczasie widzi z rozpaczą, że się dał złapać na wędkę!

Ale bywają ryby, które potrafią trysnąć, jak fontanna, dość długim snopem wody i w ten sposób zatopić na drzewie owady i muchy dość spore. Tak postępuje Łucznik, który tak się nazywa, bo puszcza wodę, jak strzałę z łuku. Jakiś Europejczyk, będąc w Jawie i posłyszawszy o łuczniku i jego sposobach, zabrał kilka takich ryb ze sobą, trzymając w kadzi, gdzie bacznie ich zwyczaje śledził. Przywiązał naprzykład muchę do kijka i zawiesił nad wodą. Na widok jadła, łucznik zbliżył się na pewną odległość; podniósłszy cokolwiek głowę z wody, trysnął prądem, skierowanym wprost na muchę, i trafił odrazu, ale ponieważ była uczepiona, więc nie spadła. To zdziwiło niezmiernie rybę, łucznik okrążył kadź i z drugiej strony cisnął nowy snop wody. I drugi łucznik wobec tego wystrzelił do muchy, ale napróżno. W końcu wszystkie ryby, jakie tylko były w kadzi, celowały, jak w strzelnicy, do muchy i nareszcie się domyśliły, że to jakiś żart. Niewieleby w życiu pociechy miały, gdyby im się zawsze tak nie powodziło jak u owego figlarza, mają one zresztą jeszcze inne zapasy dla zaspokojenia apetytu. I w wodzie samej



Łowy.



Jeszcze łowy.

nie mało jadła się znajduje. Na obrazku widzimy jak spora ryba z roztwartym pyskiem godzi na życie maleńkiej rybki. To znów łowiec, któremu ze łba zwiesza się coś w rodzajn wędki. Ukryty w mule lub w piasku, zostawia na widoku tylko ową śmigę i macha nią na prawo i na lewo. Koniuszeczek tej śmigi wydaje się głupiej rybce czemś nader pożądanem i chwyta go łapczywie. Wówczas wielka ryba nagle pysk otwiera i połyka niedoświadczoną istotkę.

Kto za młodu próżnuje, ten na starość żebrze.

Dwaj bracia rodzeni, Janek i Józio, z charakteru wcale nie byli do siebie podobni. Starszy, Janek, był leniwy i ociężały; nauki ani żadnej pracy nie lubił i jeżeli go siłą do czego nie zmuszono, to z własnej chęci nic nie zrobił: wolał po całych godzinach próżno na jednem miejscu siedzieć i czas marnować, niż najmniejszą zatrudnić się robotą. Wyrósł też na wielkiego nieuka i próżniaka. Józio przeciwnie był pilnym, pracowitym i uważnym chłopcem: uczył się dobrze i robił chętnie wszystko, co mu kazano. Jak tylko znalazł chwilkę wolną, to zaraz czytał, pisał albo rachował. Tym sposobem stał się mądrym, porządnym i roztropnym człowiekiem.

Gdy po śmierci rodziców bracia zmuszeni byli sami zarabiać na swoje utrzymanie, Jan nie wiedział, do czego się wziąć: nic mu się nie podobało, do niczego nie miał cierpliwości i wytrwałości. Szło mu też coraz gorzej, aż w końcu został włóczęgą i tułaczem.

* * *

Zupełnie inaczej wiodło się jego młodszemu bratu Józef dostał się do kupca w dużem mieście, daleko do

rodzinnych stron, uczył się handlu, był pilny, oszczędny i lubiany przez wszystkich.

Po kilkunastu latach założył własny duży sklep z papierem i różnymi innymi towarami. Gdy pewnego razu był zajęty rachunkami w sklepie, wszedł do niego zarosły, obszarpany i wynędzniały żebrak po jałmużnę. Józef spojrzał na twarz żebraka i zdawało mu się, że tę twarz gdzieś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć — gdzie. Zapytał go więc, skąd jest i jak się nazywa; lecz jakże się zdziwił i przestraszył, gdy się okazało, że ten nędzarz był jego rodzonym bratem. Nie wyrzucał mu jednak Józef tego, że nikt inny, tylko on sam stał się przyczyną swego nieszczęścia, lecz przyjął go do siebie, dał mu lekkie zatrudnienie, porządne ubranie i utrzymywał go aż do śmierci. Łatwo mu było dopomódz bratu, bo oprócz sklepu miał już teraz dwie duże kamienice.

Przygody dwóch kamratów.

Kasine jagody.

Jeszcze ziemia w rosie stała, jeszcze mgłą się otulała, jeszcze gwiazda jedna, druga jasnem oczkiem z nieba mruga, już Kasieńka nasza mała, jak świt tylko się zerwała, wzięła chleba i dwojaki, wpadła w gaik między krzaki, gdzie jagódki się rumienią, umajone traw zielenią.

Chodzi Kasia lasem, borem, pod choiną, pod jaworem, jałowcami, manowcami za kraśnemi jagodami. Bo matuchna w domu chora, trza na leki i doktora.

* * *

Pełne jagód już garnuszki, ale za to bolą nóżki, więc Kasieńka siadła w cieniu pod drzewiną na kamieniu, siedzi sobie, odpoczywa... Ale główka coś się kiwa, wciąż pochyla się na stronę, oczki mrużą się zmęczone, aż na trawie wnet spoczęła i głębokim snem zasnęła.

* * *

Śpi Kasieńka słodko, mile, nad nią krążą dwa motyle, ptaszki ślicznie gdzieś śpiewają, Kasię do snu usypiają.

Wtem z pomiędzy drzew i krzaków wyszło naraz dwóch chłopaków: Tomcio rzuca w prawo okiem, Romcio w lewo zerka bokiem, tak się czają jak dwa koty — oj, narobią Kasi psoty!

Romcio Tomcia pod bok trąca: — Patrzaj, Kasia leży śpiąca, a koło niej pod krzakami, stają garnki z jagodami. Zaraz je tu ściągniem w krzaki i wypróżnim wnet dwojaki.

Garścią jedzą te jagody, uwalali nosy, brody; opróżnione wnet garnuszki koło Kasi stawią nóżki i zmykają w las z pośpiechem, niepoczciwie drwiąc ze śmiechem.

*
* *

Południowe lśni słoneczko wprost nad gajem, wprost nad rzeczką, cień króciutki idzie drogą, że przestąpić jeno nogą — więc Kasinka się ocknęła, po dwojaczki swe sięgnęła, o nic w świecie się nie troska. Aż tu Jezu! Matko Boska!

Radość zgasła niby świeca: w pustych garnkach dno prześwieca, jagodeczki ani jednej... Łzy pociekły Kasi biednej, jasne oczy pociemniały, smutkiem okrył się świat cały. Płacz rozlega się po lesie, narzekanie wietrzyk niesie, aż ptaszęta w całym gaju zmilkły od wielkiego żalu.

PESTKI.

Janek, chłopczyk maleńki,
Badzo lubił wisienki —
Tylko się dziwił, na co w każdej pestka bywa,
Której nikt nie spożywa,
A przy jedzeniu jest w ustach zawada;
Na to mama odpowiada:
Z pestki, mój synku, drzewko wyrasta;
Z niego wisienki mają wsie i miasta. *Franc. Marzec.*

Narzędzia rzemieślnicze: młot, kowadło, obcęgi, pilnik, piła, dłuto, ośnik, nóż, siekiera, hebel, igła, winkiel, świder, szydło, grundwaga, kielnia, graca.